

Ewa Bartkowiak

rozmowa

rozmawiamy po drodze
łapiąc detal jednym tchem
w blasku spojrzeń zamglonych
z przymrużeniem rzęs
gest poluje na gesty
zapatrzony w każdy ruch
woli rytm pełni resztę
oddech mówi bez słów

obok życie rysuje
bliski duszy obraz drzew
otwieramy z uwagą
aby mówiąc dalej iść

pośród mebli drewnianych
świadców wypowiedzi dwóch
wciąż szukamy wymiany
myśli krążą z serc do głów

zastygnięci poniekąd
w drodze życia
w biegu zdarzeń
zamyśleni nad sobą
zatrzymani razem

wpatrujemy się w siebie
spoglądając wokół
widząc światło podobne
postrzegając ten sam pokój
książkę o znajomej nazwie
obrus w jednym kolorze
film ciekawy w konwencji
o tej samej dobrej porze

uśmiechnięci do siebie
własnych wyobrażeń
przenikamy myśli
snując wizje z wrażeń

wspominając gołębie
czterolistną koniczynę
ścianę z deszczu i słońca
wianek z letniej doliny

doświadczamy tak siebie
zatrzymawszy się w drodze
rozmawiając zwyczajnie
i o szczęściu i trwodze

bośmy w sobie jednacy
bez celu bez przyczyny
dziwnie sobie podobni
w tej dziwocie jedyni
tak choć światło zgaśnie
i zamilkną słowa
choćby świat zniknął nagle
będzie trwała rozmowa

przedwiośnie

szarego poranka serce zadrżało
struchlałe krople wysmagaly liście

westchnieniem nadeszło i ciepłem powiało
wśród ciszy ubranej i biało i mgliście

serce drgnęło mocniej niż zimowa trwałość
ptaki wbiły skrzydła w różane zaranie
i odchodząc z deszczem co tak tulił żalność
zamilkło niemocą nazbyt długie łkanie

świt zamieniał stroje coraz to odważniej
blady róż we wiśnię mleczny lazur w błękit
kontur zdał się jawić coraz to wyraźniej
wiatr strunami szarpał tkwiąc na gryfie tęczy

tak powstawał ranek nowy nieznamy
zbliżał się z maestrią śmiały zadziwieniem
muskał blade usta blaskiem zamysłonym
i nie pytał wcale wiodąc barwnym cieniem

ranek to czy wiosna drżała rozpalona
ziemia zapach niosła nęcąc własnym chceniem
ciałem tak przywarłam wonią uwiedziona
i jak ziemia owa stałam się pragnieniem

miłość w Warszawskich Łazienkach

miłość w Warszawskich Łazienkach
widziałam wiele razy

można spotkać ją w Trou Madame
krąży wśród białych stolików
w woni herbat i kaw
młodzieńców i ich dam
w muzyce słów starannie dobranych
bądź wymianach przez satyra
miłość ta smak ma szarlotki
jajeczniczy lub sera

czasem stoi w alejce parkowej
samotnie przy drewnianej ławce
zapatrzona w liści rozmowę
z wiewiórką i orzeszkiem
bez świeższcza
miłość ta duszę ma wieszczą
co rozmawia ze swoim natchnieniem
a słowa ulatują w przestworza

niekiedy w trawie się chowa
przy licealiście i licealistce
a na stosie ich dyskusji i teorii nowej
płonie pierwszym pocałunkiem
miłość ta pachnie jak narcyz
chwilami jak janowiec

miłość w Warszawskich Łazienkach
kroczy alejkami dumna jak paw
i jego okiem spogląda na świat
miłość ta jest kolorowa
bezkompromisowa
zdarza się że ucieknie jak spłoszony ptak
lecz potem uparcie powraca
i śpiewa na koronach drzew

miłość w Warszawskich Łazienkach jest

cantata de sal

wniosłam w myśli sól twego ciała

celebrowałam jej smak zamysł zmysł
z solnej materii powstawał pałac
kryształ ciosany dotykiem chwil

budowla rosła w miarę istnienia
w czasie dziwnym w cyklu bez dni
ściany pęczniały sufit się zmieniał
kurczyły okna malały drzwi

w solnych komnatach oddech gorący
drażył bezwiednie snuł się to szalał
rzeźbił w przestrzeni byt wędrujący
tworząc posągi kreował marazm

stałam bez ruchu naga wpatrzona
wśród stalagmitów i innych brył
śniłam o tobie śniłam tak o nas
świat ginął w dali ledwie już cmił

plotły się pnącza szkliste i słone
składały w szczyty fale i kry
patrzyły oczy łzami zamglone
chwycił je stupor trzymał i kpił

dziw to nad dziwy niemoc tak wielka
wśród ruchu soli wody i skroni
gdy woni ducha moc niepojęta
nie można ruszyć własnej swej dłoni

tarantella

pomieszały nam się dłonie
zaskoczony załęczniony
w ciszy myśli i łaknieniu
w przerażeniu i rozterce
choć pewnością swą wiedzione
zagubiły nam się ręce

dołączyły krople słone
przyszły zewsząd
były wszędzie
pokłoniły się westchnieniom
wzięły ciała w wiotkie lejce

strużki plotły się z palcami
wiły w brudach po przeguby
by za nimi aż po łokcie
w rzeźbie żył popłynąć z trudem
lecz uparcie

tak zawzięcie
brnęły ku ramionom jedne
kiedy inne osłupiały
zapatrzaniem owładnięte
opadały w tchnienia mgielne
niewidzialne znów na dłonie

te tańczeniem swym przejęte
zapadały w skroni głębie
gdzie w skupieniu zrozumieniu
pełzły czule lekkie miękkie
to znów wściekle oszalałe
kotłowały się namiętnie

w tym przedziwie i bezkształcie
wśród muzyki co z zadumy
i marzenia dwojga istnień
zwykła istnieć samoistnie
zaginęły nasze dłonie